

script
S maio
umilem
Montferrat
quod dico
go testi
ant'is e
nanu s
visitiae
Lor
Ultinam
Ex eam ne
Locem ip
ellinam havemu
Ex eam nu equam
Locem ipoum dolo
Sed ut peropicio

MAREK
ORŁOWSKI

ZAGINIONA RELIKWIA



MAREK ORŁOWSKI

ZAGINIONA RELIKWIA



Redakcja
Jacek Ring

Korekta
Dorota Wojciechowska

Skład
Tomasz Wojtanowicz

Projekt graficzny okładki
Barbara Kuropiejska

Rysunki
Marek Orłowski

copyright©by Marek Orłowski, 2022
copyright©by Bellerofont, 2022

Wszelkie prawa zastrzeżone
All rights reserved

ISBN 78-83-902444-4-0

WYDANIE PIERWSZE

Wydawnictwo Bellerofont, Warszawa 2022
bellerofont.wydawnictwo@wp.pl

Dystrybutor:
e-bookowo.pl
wydawnictwo@e-bookowo.pl
A3M Agencja Internetowa
Będzin 42-500
ul. Baczyńskiego 25

...prowadząc badania na temat poglądów i działalności tej dziwnej grupy mnichów-rycerzy, nabrałem przekonania, że zdobyli oni jakąś bardzo starą tajemną wiedzę.

Graham Hancock, *Znak i pieczęć*,
przeł. Barbara Cendrowska-Werner

Od lat wśród łowców tajemnic „Riese” (Olbrzym), który to kryptonim nadano podwałbrzyskiej budowie, krąży też opowieść o sprowadzeniu podczas wojny grupy fizyków i chemików ze Skandynawii, którzy podobno w Górach Sowich prowadzili jakieś osłonięte tajemnicą badania.

Leszek Adamczewski,
Tajemnicza broń Hitlera



PROLOG

**ROK 1191, WRZESIEŃ. MORZE ŚRÓDZIEMNE,
KOTWICOWISKO PORTU W AKCE**

Zbudziły go krzyki dobiegające z dziobu okrętu. Przez chwilę leżał nieruchomo, wsłuchując się w coraz głośniejszą wrzawę i tupot nóg o deski pokładu. Przeraźliwy wrzask „gore!” za ścianą kasztelu rufowego sprawił, że Jacopo z Wenecji, kapitan galery pływającej pod flagą Zakonu Templum, poderwał się niczym dźgnięty sztyletem. Jednym susem znalazł się na zewnątrz kajuty. Widok bijącego w nocne niebo ognistego słupa zmroził mu krew w żyłach. Na jego oczach urzeczywistniał się najgorszy koszmar żeglarsza – pożar na morzu. Płomienie wydobywały się z przedniego luku. Ich zielono-żółta barwa nie pozostawiała wątpliwości – najwyraźniej zapaliły się ukryte pod pokładem pojemniki z ogniem greckim. Sekretny wynalazek Bizantyjczyków, mieszanina oleju skalnego, siarki i niegaszonego wapna, z dodatkiem kilku innych

substancji, płonęła nawet na wodzie i nie dawała się łatwo ugasić. Ugodzony tą straszną bronią okręt skazany był na zagładę. Kapitan zacisnął dłoń na dębowej poręczy, jakby chciał ją zgnieść. Wyglądało na to, że tym razem na zagładę skazany jest jego okręt.

Jacopo otrząsnął się z pierwszego zaskoczenia. Jego krępa, zwalista postać stanęła na drodze uciekających na rufę ludzi niczym skała zagrządzająca koryto rzeki. W blasku pożaru jasna broda okalająca ogorzałą twarz przeciętą blizną od noża zdawała się świecić.

– Stać! Stać, mówię! Do tyłu, ścierwa! I nie lać wody! Octem gasić! Octem! Macie tuzin beczek wedle masztu! – Jego grzmiący głos tylko na chwilę przebił się przez wrzaski ogarniętych popłochem żeglarzy.

– Nie damy rady, panie! – Do kapitana podbiegł jego zastępca, wysoki, chudy jak szczapa Genuńczyk o imieniu Silvio. – Ogień się rozszerza!

– Widzę! Niech to wszyscy diabli! – Jacopo uskoczył zręcznie w bok. Ciężki blok z kawałkiem płonącej liny walnął o pokład w miejscu, gdzie przed chwilą stał kapitan. Ogień ogarnął podstawę przedniego masztu i wspinał się łakomie po nasyconych smołą wantach. Podświetlone pożogą sylwetki biegnących ludzi wyglądały niczym czerwono-czarne demony, miotające się w ćelściach piekła.

– Ale co się stało, na Boga?! Ktoś zaproszył ogień? Przecie samo się nie zapaliło?!

– Stul gębę, chłopie! Każ ciąć liny kotwiczne! Zagoń ludzi do wiosel! Płyniemy do portu!

– Żaden wiosłarz nie zejdzie pod pokład! Tam wszystko już płonie! Okręt jest stracony! I my też! Nikt się nie uratuje, nie przy takim morzu!

Kapitan zacisnął zęby, w milczeniu przyznając mu rację.

Wielka galera, zakotwiczona daleko przed kamiennymi nabrzeżami portu w Akce, warownego miasta niedawno odbitego z rąk Saracenów przez krzyżowców Ryszarda Lwie Serce, huśtała się dziko na stromych falach. Szalejące na pokładzie płomienie oświeślały spienioną wodę. Przez otwory luków przeświecał złowróżbny czerwony poblask. Dmący od lądu porywisty wiatr gwizdał w takielunku, nieubłaganie podsycając pożar.

– Nie uratujemy okrętu. Opuszczaj łódzie! – Kapitan odwrócił się do Sylwia.

– Za późno! Łódzie już w ogniu!

– To niech ludzie skaczą do wody! Do brzegu nie tak znów daleko!

– Mało który umie pływać. – Silvio pokręcił głową z powątpiewaniem.

– No to czekajcie! Z portu chyba widzą ogień, lada chwila przyplyną na pomoc! Chyba nie wszyscy tam śpią, do diabła rogatego?!

Zastępca nie zdążył odpowiedzieć. Tłum cofających się przed ogniem żeglarzy naparł na nich i zepchnął w kierunku rufy.

Kapitan spojrzał w stronę brzegu. W ciemnościach bezksiężycowej nocy dostrzegł ledwie zarysy słabo oświetlonych murów miasta. Płonące na szczycie Wieży Much pochodnie wyglądały niczym samotne gwiazdy połyskujące nad horyzontem. Zdawało mu się, że czerwone punkciki zmniejszają się, jakby gasły albo nagle zaczęły się oddalać.

Zrozumiał, co się stało, wyczuwając odmienny ruch galery na wzburzonym morzu. Już nie szarpała się na linach kotwicznych niczym spłoszony koń na uwięzi, tylko poddawała płynnie falom, nurzając na przemian dziób i rufę w kipieli piany. Coraz silniejszy wicher znosił okręt na pełne morze.

– Straciliśmy kotwice! – Silvio złapał kapitana za ramię. – Pewnie przepaliło sznury! Albo może...

– Albo ktoś je przeciął. Ten sam, który podpalił dzbany z ogniem greckim!

W trzewiach okrętu rozległ się głuchy huk. Deski pokładu dziobowego wyrzuciły się, jakby od spodu wałnęła w nie pięść olbrzyma. Z wyrwanej dziury bluznęły płomienie, ogarniając wyjących z przerażenia ludzi. Ciągąc za sobą warkocze ognia, żeglarze skakali za burtę, szukając ocalenia w morzu. Jacopo wiedział, że go tam nie znajdą. Będą płonąć żywcem, póki diabelska ciecz nie wypali się do końca, a potem i tak utoną, zalewani coraz wyższymi falami.

Spojrzał z rozpaczą w niebo, jakby stamtąd oczekiwał ratunku, ale mrugające na granatowej czaszy nieba gwiazdy pozostawały dalekie i obojętne na rozgrywającą się na morzu tragedię. Jego wzrok zatrzymał się na szczycie głównego masztu. Masywne drzewce stało jeszcze, ale chwiało się coraz mocniej. Podtrzymujące go wanty zamieniły się w festony furkoczących płomieni. Na samej górze, upiornie podświetlony przez ogień, powiewał proporzec Templum.

Jacopo przyjrzał się czarno-białej szachownicy i poczuł spływający po plecach zimny strumyczek potu. Nie pomyślał dotąd o ładunku okrętu, tajemniczej skrzyni, którą czterokonny wóz przywiózł do portu pod osłoną nocy. Dwóch pacholków z trudem wniosło znaczny ciężar na pokład. Potem zabezpieczyli skrzynię linami w skarbczyku pod kajutą na rufie. Jacopo ledwie zdążył na nią zerknąć, ale jej wygląd wrył mu się w pamięć. Nie była zbyt duża, wszystkiego może ze trzy łokcie na półtora. Całą jej powierzchnię pokrywały zachodzące na siebie cieniutkie ołowiane blaszki niczym łuski wielkiej ryby. Skrzynia musiała długo stać w wilgotnym miejscu, bo ołów poczerniał, a opasujące ją brązowe okucia pozieleniały od śniedzi.

Kapitan przypomniał sobie niepokój rycerza zakonnego, który nadzorował załadunek.

– Wyplyniesz zaraz z portu i rzucisz kotwicę o staję dalej, już na morzu. Odtąd nikt nie śmie zejść na ląd, nawet ty. – Templariusz rozglądał się po pustym nabrzeżu, jakby mimo ciemności nocy czyjeś oczy mogły ich jednak śledzić. Smukła sylwetka i gładka twarz zdradzały jego młody wiek, ale zmrużone oczy zdawały się należeć do znacznie starszego człowieka. Jacopo spojrzał w nie tylko raz, a to, co zobaczył, wcale mu się nie spodobało.

– A moi ludzie? Połowa wioślarzy została na brzegu, piją w tawernach, przecież nie wypłynę bez nich do Italii!

– Wróć na okręt łodziami. Aby tylko zdążyli przed świtem. Milcz i słuchaj rozkazów. I nikomu ani słowa o tej skrzyni. Głową za nią odpowiadasz, rozumiesz?

– Twoja wola, panie. – Kapitan się skłonił. Rozumiał, a jakże. Rycerze Zakonu Świątyni, czyli templariusze, jak ich powszechnie zwano, nie słynęli z łagodności. Powołani do walki z niewiernymi w Ziemi Świętej byli niezrównanymi wojownikami, groźnymi dla wrogów, ale też surowymi dla siebie i swoich sług.

– To nie moja wola, tylko wielkiego mistrza Templum, Roberta de Sable. Jeśli dowiesz bezpiecznie ten ładunek do portu w Genui, zostaniesz dodatkowo nagrodzony. Zakon jest hojny, chyba wiesz o tym. Ale gdyby coś się wydarzyło albo gdybyś nie dochował tajemnicy, to lepiej by ci było uwiązać sobie kamień u szyi i rzucić się w morze. O tym chyba także wiesz? – Templariusz nie podniósł głosu, ale jego ręka niby przypadkiem oparła się na rękojeści miecza. W świetle latarni na maszcie czerwony krzyż na białym płaszczu zakonnika przybrał barwę świeżej krwi. – Dołączę do was o świcie, wtedy wypłyniemy. Bądźcie w gotowości. I pomagaj wam Bóg!

– I wam, panie, i wam. – Kapitan pochylił się nad zapętloną na kamiennym słupku liną. Usłyszał stukot kopyt i zgrzyt żelaznych obręczy kół na bruku. Po chwili wszystkie odgłosy zagłuszyło zawrodoenie tęjącego wiatru i chlupot fali.

– Rzucać cumy! – krzyknął w stronę ciemnej masy okrętu obijającego się o nabrzeże. Prawie czuł, jak napór kadłuba miażdży chroniące burty wiązki suchej trzciny. – Odpływamy na kotwiczowisko!

– Po co, na Boga? – Jacopo rozpoznał głos Silvia. – Przecież stoimy bezpiecznie w porcie? A o świcie mieliśmy wyruszyć do Italii?

– I wyruszymy. A teraz rób, co mówię! Pogoń ludzi! Stawiajcie przedni żagiel! A dla tych moczymordów, co się ostali na brzegu, każ spuścić dużą łódź, a niech ją dobrze przywiążą do pala.

– To może kogoś posłać, coby poszukał po karczmach?

– Ani się waż! Kto nie wróci na okręt przed świtem, zostanie w Akce.

Patrzącemu teraz na pożar kapitanowi przemknęła przez głowę myśl, że ci, którzy zostali, mieli szczęście, tylko jeszcze o tym nie wiedzieli. Przypomniał mu się też złowrogi wyraz twarzy templariusza i jego słowa: „Głową za to odpowiadasz”. Ale co mógł, na Boga i Jego świętych, uczynić? Jak ratować tę przekleętą skrzynię? Gdybyż z portu przy płynęła jakaś pomoc! Przecież do końca falochronu nie będzie więcej jak tysiąc kroków! Czy straż na murach nie widzą płomieni? A może myślą, że to atak saraceńskich galer? Ale wichura znosiła gorejący okręt coraz dalej w morze i kapitan wiedział, że z brzegu nikt nie zdąży z pomocą. Przepalone wanty opadały na pokład niczym ogniste węże. Maszty, niepodtrzymywane takielunkiem, zaczęły się walić, gruchotać nadburcia i przygniatać ludzi. Kapitan zatrzymał się na krawędzi rufy, ustępując przed płomieniami, które osmały mu już włosy. Czując coraz silniejszy żar ognia na odsłoniętej skórze, wspiął się na nadburcie kasztelu rufowego.

– Pomocy! Ratujcie! – Zawodzące głosy zza burty mieszały się z łoskotem fal. Zagłuszył je przeraźliwy wrzask palącego się żywcem człowieka.

Kapitan zagryzł wargi, jakby sam poczuł piekące ukąszenie płomienia. Wiedział, że to koniec. Jego załoga wkrótce znajdzie się tam, gdzie i okręt – na dnie morza. Nim skoczył w czarną, rozkołysaną toń, zdążył pomyśleć, że spocznie tam także tajemnicza skryznia templariuszy, bez względu na to, jak cenny zawiera skarb.

* * *

Spieniony grzbiet fali załamał się właśnie wtedy, gdy samotny pływak uniósł głowę, żeby zaczerpnąć powietrza. Zamiast tego łyknął potężny haust morskiej wody. Sól sparzyła mu płuca. Odwrócił się na plecy, by spróbować wykaśłać gorzką ciecz zalewającą gardło. Przez chwilę unosił się swobodnie na powierzchni, krztusząc się i niemal ciesząc niezamierzonym odpoczynkiem.

Uniosła go kolejna fala i przez mgnienie oka zobaczył za sobą jasny błysk ognia. Usta wykrzywił mu grymas mściwej radości. Wiedział, że nigdy nie zapomni uniesienia, z jakim ciął smołowane liny, czując nad głową masyw dziobowego tarana i widząc czerwony poblask rozpalającego się na pokładzie pożaru. Dopłynąć do zakotwiczonego na morzu okrętu było łatwo, pomagał w tym dmący od lądu wiatr. Trudniejszym zadaniem okazało się skryte wejście na pokład i zażegnięcie ognia. A jednak zdołał tego dokonać, a potem szczęśliwie umknąć z płonącej galery.

Odetchnął głęboko i znów zaczął mozolnie przepychać się przez kipiel wzburzonego morza. Na każde trzy przepłynięte stopy cofał się o dwie, spychany przez fale i wiejący w twarz wichry. Ból słabnących mięśni dawał się we znaki, zdrętwiałe ręce były jak wystrugane z drewna i z coraz większym trudem wynurzał głowę ponad bryzgi spienionej wody. Ale pływak nie zwykł się poddawać. Niczym raz wprawiona w ruch machina wyrzucał do przodu ramiona, zagarniał nimi wodę, znów je prostował, i jeszcze raz, i jeszcze...

Ciemna linia brzegu zbliżała się przeraźliwie wolno. Zdawało mu się, że minęły wieki, nim poczuł pod stopami upragnioną twardość dna. Postąpił kilka kroków do przodu, po czym padł twarzą na mokry piasek. Załamujące się na płyciźnie fale zalewały go po ramiona, ale on o to nie dbał. Uniósł z wysiłkiem głowę, po czym spojrzał w stronę murów miasta. Na wierzchołku strzegącej portu baszty, zwanej Wieżą Much, gorączkowo poruszały się ogniki pochodni. Ciszę nocy rozdarło buczenie rogu.

Mężczyzna wstał. Zachwiał się, jednak po chwili odzyskał równowagę. Był jeszcze młodym człowiekiem, choć zmarszczki na czole i twarde spojrzenie oczu o barwie smoły świadczyły o przebytych trudach. Przeciągnął się, prostując zmęczone ramiona. Jego niemal nagie muskularne ciało okrywała tylko płócienna przepaska na biodrach. Wzdrygnął się, czując na mokrej skórze lodowate smagnięcie wiatru. Do twarzy przyłgnęły mu pasma długich, ciemnych włosów. Odgarnął je niecierpliwym ruchem, potem strząsnął wodę z krótko przyciętej brody.

Odwrócił się w stronę morza. Nikła poświata gwiazd nie zdołała rozświetlić mrocznej toni, w ciemnościach bieleły się tylko grzywy fal. Na ledwie widocznej granicy między granatem nieba a czernią wody jaśniał słup ognia. Płomienista krecha, niczym żagiew uniesiona w nocne niebo, stopniowo malała, wreszcie zamigotała i zgasła.

Aksamitna ciemność nocy wydała się teraz jeszcze głębsza.

– Dokonało się – wyszeptał mężczyzna, wpatrując się w odległy widnokrąg. Urodziwa twarz stwardniała w grymasie zawziętości. – Ale tak lepiej. Ludzie nie są godni, by posiadać tak wielką świętość. Zaiste, nie są godni.

Odnalazł pozostawione w zaroślach oliwnych odzienie, a potem ciężkim krokiem ruszył w stronę murów Akki. Nie oglądał się za siebie.

* * *

ROK 1942, LUTY. MORZE ŚRÓDZIEMNE

– Łąd na trawersie sterburty! Odległość pięć mil! – Pierwszy oficer mówił spokojnym głosem, jednak dłonie zaciśnięte na lornecie Zeissa lekko drżały. Pochylił się, jakby chciał przebić wzrokiem poplamioną solą szybę sterówki.

– Sam zobaczę. – Kapitan Carlo Benetti wyciągnął rękę po szkła, ale przechył statku rzucił go na kolumnę kompasu. Kurczowo oplótł ją ramionami niczym tonący chwytający koło ratunkowe. Czekał, aż kadłub dryfującego bezwolnie frachtowca zatoczy pełny łuk, udając trącony kulą kręgiel, a potem zacznie się z ociąganiem prostować. Mimo powagi sytuacji nie zdołał powstrzymać uśmiešku, kiedy pierwszy oficer Giacomo Rossi nie utrzymał się na nogach i wylądował na klęczkach u jego stóp.

– Przesadza pan z okazywaniem szacunku, pierwszy. Chyba że to przeprosiny za pańskie niedbalstwo. – Uśmiech znikł z ust kapitana, jakby go zdmuchnął wiatr chłoszczący deszczem ściany nadbudówki. – To przez pana tkwimy po uszy w tym szambie.

– Ależ, panie kapitanie! Przecież dopilnowałem naprawy maszynki sterowej przed wypłynięciem. Cięgło zerwało się w sztormie, to się zdarza. – Rossi wstał z trudem, przytrzymując się stołu z mapami. Spojrzał z wyrzutem na stojącego na szeroko rozstawionych nogach mężczyznę w granatowym mundurze ozdobionym dystynkcjami włoskiej marynarki handlowej. Kapitan był masywnie zbudowanym czterdziestolatkiem o szerokich ramionach i rumianej twarzy okolonej siwiejącą kędzierzawą brodą. Jego mocna sylwetka przypominała wyrastającą z morskiej kipieili rafę, niewzruszoną i uragającą ciosom fal. Miał niewyparzony język i szorstkie maniery, jednak jego ludzie i tak go lubili. Nasunięta na oczy czapka ze złotym galonem przykrywała sporą łysinę, ale marynarze wiedzieli, że pod łysiną kryje się tęgi umysł i wiele lat doświadczeń na wszystkich morzach świata.

Kapitan spojrział z troską na zalewaną bryzgami fal dziobówkę. Wszystko, co mogło zostać zmyte z przedniego pokładu, już dawno znalazło się za burzą, ale solidna konstrukcja statku jak dotąd wytrzymywała ciosy wzburzonego morza. Odetchnął z ulgą, widząc, że uszczelnione brezentem i deskami pokrywry ładowni są nadal całe.

Zbudowany w 1923 roku przez stocznię w Neapolu transportowiec „Balila” należał do włoskiej spółki żeglugowej Societa Armatrice Italiana. Od prostej stewy dziobowej do przypominającej w przekroju kieliszek od szampana rufy mierzył równe sto dwadzieścia metrów i wypierał cztery i pół tysiąca ton. Pojedyncza śruba napędzana trójstopniową turbiną parową Parsonsa pozwalała mu rozwijać prędkość dwunastu węzłów. Kapitan Benetti odbył na nim dziewięć rejsów i z całego serca pragnął doczekać końca dziesiątego.

– Dopilnował pan? Gdyby pan pogonił dobrze tych rumuńskich obiboków w Konstancy, może zrobiliby to jak należy.

– To nie moja wina, że prawoburtowe cięgło trzasnęło w czasie manewrów. I tak mieliśmy szczęście, że akurat w porcie, tuż obok doków. – Pierwszy oficer mężnie usiłował stawić czoło kapitanowi.

– Trzeba było stać nad tą bandą pijusów! Patrzyć im na ręce! Stocznia remontowa! Też mi coś! Moja babka naprawiłaby to lepiej niż ci zasańcy!

– Statek ma swoje lata, ciągle coś się psuje. A ci stoczniowcy mówili, że znają się na tej robocie.

– Myślałem, że pan jest tylko naiwny, pierwszy. – Kapitan mocniej złapał się kolumny kompasu. Zaparł się nogami o pokład, bo statek zapadł się dziobem w dolinę między falami i przez dłuższą chwilę nie chciał się podnieść. – Ale pan jest zwyczajnie głupi.

– Panie kapitanie! Wypraszam sobie!

– Jeśli czuje się pan obrażony, wolno panu zażądać wpisu do dziennika okrętowego. No co, chce pan?

Rossi wymamrotał coś w odpowiedzi.

– Nie słyszę! – Kapitan wyraźnie zamierzał znęcać się nad pierwszym oficerem.

– Ale przecież... to się zdarza na morzu. Sztormowaliśmy... Pewnie duża fala uderzyła z boku w płetwę steru. No i nie jest tak źle, kadłub wytrzymał, nie bierzemy wody i teraz już chyba można...

– To cud, że wytrzymał – przerwał mu bez pardonu kapitan. – Niech mi pan tu nie chrzani, pierwszy! Nie wyróciło nas do góry dnem, prawda. A mogło! I zniosło nas prawie pięćset mil na południe z naszego kursu! Dryfowaliśmy cztery dni w sztormie jak pieprzona tratwa! A bez sprawnego steru za parę godzin wpadniemy na brzeg!

– Morze się uspokaja. Wiatr osłabł i fale już nie są takie wysokie. – Tyczkowaty pierwszy oficer spuścił głowę. Ze wszystkich sił starał się nie patrzeć na kapitana z góry. Wymizerowana twarz pokryta szczecina czarnego zarostu świadczyła o trudach ostatnich dni. – Na płytszych wodach możemy rzucić kotwicę i jak statek przestanie się tak miotać, naprawimy ster.

– Oby się udało. Jak nie, przełączycie się na maszynkę awaryjną. Teraz już chyba dacie radę. – Kapitan przycisnął do oczu gumowy okular lornety. Znosi nas na południowy zachód, w stronę Hajfy. Jak daleko do płytkiej wody? Niech ktoś spojrzy łaskawie na mapę!

– Jeśli nasza pozycja zliczona jest prawidłowa, to jesteśmy na wysokości raczej Akki niż Hajfy i mamy jakieś dwa tysiące sążni wody pod kilem. Cztery mile od brzegu dno podnosi się do głębokości trzydziestu sążni. Można będzie zakotwiczyć – włączył się do rozmowy drugi oficer Toskanio. W przeciwieństwie do większości Włochów był blondynem i jego nieogolone policzki

nie rzucały się tak bardzo w oczy. Tak jak i reszta załogi prawie nie spał od czterech dni, bo na miotanym sztormem statku było to niemożliwe. Skrzywił się, czując smród świeżych wymiocin. Wiercący w nozdrzach odór mieszał się z zapachem męskiego potu. Przez cztery dni nie było mowy o myciu ani o przygotowaniu gorącego posiłku. Pozbawiony steru statek stał się igraszką rozszalałego morza, niczym papierowa łódeczka niesiona nurtem górskiego strumienia. Mimo wypuszczenia łańcuchów kotwicznych, działających jak dryfkotwy, kadłub obracał się bezwładnie, wystawiając burty na uderzenia wichury. Blachy poszycia jęczały pod ciosami fal, pogięte relingi przypominały wstążki makaronu. Statek na zmianę to rył dziobem spienione wodne góry, to znów zanurzał się rufą, aż kaskady wody zalewały pokład po nadbudówkę. Resztki wyrwanych z mocowań rufowych żurawików zwisały smętnie, grzechocząc pordzewiałymi łańcuchami. Po szalupach ratunkowych nie pozostał nawet ślad. Toskanio przypominał sobie największe nasilenie sztormu, gdy uczepleni przyśrubowanych do pokładu sprzętów oficerowie z przerażeniem obserwowali przechyłomierz.

– Trzydzieści stopni, trzydzieści pięć... Matko Jezusowa! Czterdzieści! – Toskanio słyszał szept za plecami. Nie odwrócił głowy. Jak urzeczony patrzył na zieloną ścianę, która nieubłagannie wyrastała za oknem sterówki. Zdawała się wielka jak dom, co tam dom, jak cała góra!

– Przechyli się do pięćdziesięciu stopni i wstanie! – Głos kapitana był ledwie słyszalny w huku wichru wyjącego za ścianami. Statek wyprostował się powoli, strząsając z siebie potoki wody niczym wynurzający się z głębiny wieloryb. Dla załogi było jednak oczywiste, że kolejny taki przechył może być ostatnim. Jeśli pokrywy luków nie wytrzymają nacisku setek ton wody pokrywającej pokład, ładownie zostaną zalane, a wtedy wszyscy znajdą swój grób na dnie morza.

Świt czwartego dnia był ciemny i jakby stłamszony przez zwały ciężkich, burych chmur zakrywających niebo. Wiatr jednak wyraźnie osłabł, a fale stopniowo łagodniały. Dla umęczonego statku, który przez te kilka dni wielokrotnie znajdował się o krok od zagłady, był to akt łaski. Równie umęczeni ludzie poczuli się jak skazańcy, którym w ostatniej chwili darowano życie.

Drugi oficer rozejrzał się po niewielkiej sterówce. Wszystko, co nie było dobrze umocowane, spadło lub oderwało się już na początku sztormu. Pod nogami zachrzęściły mu skorupy rozbitej porcelany. Przez chwilę wyobrażał sobie tęsknie filiżankę pełną gorącej herbaty. Smużka wonnej pary unosi się leniwie nad apetycznie brunatną powierzchnią, białe, gładkie uszko czeka, żeby je chwycić, podnieść naczynie do ust, jeszcze przez chwilę rozkoszować się cudownym aromatem, nim przełknie się pierwszy łyk...

Z marzeń na jawie brutalnie wyrwał go głos kapitana:

– Panie Toskanio!

– Słucham, kapitanie!

– Zbierze pan wachtę i przygotuje się do rzucenia obu kotwic. I niech pan każe stopniowo podnosić ciśnienie w kotłach. Kiedy tylko naprawimy ster, ruszamy pełną parą na północ ku zachodowi. – Kapitan trząsknął zapalniczką, usiłując zapalić papierosa i jednocześnie trzymać się kolumny kompasu.

– Tak jest! – Drugi oficer chciał się służbiście wyprostować, ale był zbyt zmęczony i obolały. Westchnął ciężko, nim dodał z ociąganiem: – Główny mechanik ma rozbitą głowę. Rzuciło go na pokrętko zaworu. Jeden z palaczy złamał rękę, smarownik Gulio poparzył się, kiedy upadł na przewody parowe.

Kapitan zmełł w ustach przekleństwo.

– Dadzą radę?

– Będą musieli, ale nie będzie łatwo.

– Dobrze, niech pan tego dopilnuje. I wyznaczycy ludzi do naprawy steru.

– A ja? – Pierwszy oficer spojrzał przekrwionymi z niewyspania oczami. – Jakie są rozkazy dla mnie?

– Pan niech się lepiej pomodli, Rossi. Może w tym okaże się pan dobry. Bo jeśli Bóg się nad nami nie zmiłuje, nic nam nie pomoże.

– Skoro tak pan mówi, kapitanie... Nie sądzi pan jednak, że najgorsze za nami?

– Pan chyba zapomniał, że mamy wojnę? – Kapitan pokonał wreszcie opór zapalniczki i z lubością wydmuchał niebieskawy dym. Jego zwodniczo łagodny głos nie wróżył nic dobrego i pierwszy oficer przezornie odsunął się o krok, udając, że chroni się przed cuchnącym obłokiem.

– Pokrywa chmur jest za niska na loty, żaden samolot nie wystartuje przy tej pogodzie. Przed nocą powinniśmy być ze sto mil od tego miejsca.

– Owszem, tylko że to akurat wybrzeże syryjskie, pierwszy. Pan oczywiście wie, że Syria jest zajęta przez Brytyjczyków? Wystarczy, że jakiś pastuch wielbłądów da znać Angolom dla kilku piastrów nagrody!

– Najdalej za dwie godziny odzyskamy sterowność. – Rossi nie dał się wciągnąć w dyskusję. – Kotły są pod parą, a morze szybko się uspokaja.

– I to właśnie mnie martwi. – Kapitan zdusił papierosa w przepelnionej popielniczce. – Nieprzypadkowo nasz kurs wytyczono na północ od Krety. Mieliśmy potem skrócić na południe, prosto do Benghazi, byle dalej od brytyjskich baz okrętów podwodnych na Malcie i w Egipcie. A teraz wypadnie nam przepłynąć prawie przed nosem ich floty! W Aleksandrii stoi chyba ze sześć krążowników! I diabli wiedzą ile niszczycieli! A jeśli wyjdą w morze? Myśli pan, że nasza eskorta da im radę?

Rossi wołał nie pytać, skąd jego kapitan ma tak dobre informacje. Przez boczną szybę widział płynący równolegle z „Balilą”

smukły kadłub okrętu wojennego. Szary, groźny kształt rozmywał się pośród równie szarych fal zwieńczonych białymi grzebieniami piany. Wydawało się, że chmury w odcieniu ołowiu zwieszają się tuż nad masztem okrętu. Jediną barwną plamą była łopocząca na wietrze czerwono-biała bandera z czarną swastyką.

– Wciąż nie rozumiem, czemu nie popłynęliśmy w konwoju? Skoro nasz ładunek jest taki ważny dla Niemców, mogli nam przydzielić coś lepszego niż ten rupieć z odzysku. W Tarencie stoi połowa naszej floty!

– Niszczyciel „Hermes”, wcześniej grecki „Vasilefs Georgios” – wyrecytował kapitan, patrząc na białe litery ZG3 na niskiej burcie eskortowca. – Wcielony do Kriegsmarine w grudniu zeszłego roku. Cztery działa sto milimetrów, osiem kaemów Vickersa, dwie wyrzutnie torpedowe. Tak, pierwszy, jeśli namierzy nas angielski krążownik, z pewnością ucieknie na sam widok tych pukawek!

– Skoro zna pan takie szczegóły, kapitanie, to może wie pan coś o naszym ładunku? Skąd taka tajemnica, skoro to tylko zaopatrzenie i części do czołgów dla Afrika Korps w Libii?

– A niby skąd miałbym to wiedzieć? – Kapitan wzruszył ramionami, przyglądając się grupce marynarzy krzątających się na zalewanej bryzgami fal dziobówce.

– Przecież ten oficer, dowódca transportu, rozmawiał z panem w porcie w Konstancy, prawda? Nic panu nie powiedział? A ten pociąg, który to wszystko przywiózł? Wagonów pilnowali niemieccy spadochroniarze. I czemu, u licha, wieziemy amunicję aż z Rumunii? Dlaczego załadunek odbył się w nocy? Wyszliśmy w morze przed świtem, bez pilota. Nabrzeże było zaciemnione, a kompania rumuńskiej Żelaznej Gwardii otoczyła port. Poznałem ich mundury. Nie sądzi pan, że to dziwne?

– No to teraz wiem, na co się pan gapił, zamiast pilnować naprawy steru!

- Mówię tylko, że to dziwne.
- Dziwne jest to, że pana tak ciekawi wszystko dokoła, tylko nie sprawy statku. Niech pan lepiej sprawdzi, czy ekipa remontowa jest gotowa. Jak staniemy na kotwicy, kadłub obróci się dziobem do fali i nie będzie się tak kołesał na boki.
- Już idę. Tylko że „Hermes”...
- Co tam znowu?
- Niszczyciel nadaje coś aldisem¹.
- To na co pan czekasz? Na koniec wojny? Wołać sygnalistę na mostek!

Kapitan otworzył drzwi prowadzące na skrzydło mostka, wpuszczając do środka niesione wiatrem krople deszczu. Oparł się o porysowane tekowe nadburcie, z przyjemnością wdychając ostre morskie powietrze. Spojrzał na mrugające miarowo oko lampy sygnałowej niemieckiego okrętu i bezwiednie skrzywił się, wspominając wydarzenia sprzed niecałego tygodnia.

Zdawało mu się, że ledwie wczoraj wpływał do portu w Konstancy, mając za sobą długi rejs z Brindisi, przez labirynt greckich wysepek na północ od Dodekanezu i wreszcie przez Morze Czarne do sprzymierzonej z Niemcami Rumunii. Płynąc wzdłuż wybrzeża Turcji, a potem wąską cieśniną Bosfor, podziwiał widok antycznego Stambułu, niegdyś Konstantynopola. W pozornie neutralnej Turcji czuł się prawie jak turysta. Wrażenie to prysło, gdy zacumowali w głównym rumuńskim porcie na Morzu Czarnym. O rzeczywistości przypomniał mu czekający w kapitanacie wysoki hauptmann o zimnym spojrzeniu jasnoniebieskich, jakby wyblakłych oczu, ubrany w nienagannie wyprasowany mundur Wehrmachtu.

¹ Lampa sygnałowa – lampa Aldisa, przenośny lub stacjonarny morski reflektor przeznaczony do świetlnej sygnalizacji alfabetem Morse’a lub dowolnym innym kodem.

– Spóźnił się pan, kapitanie Benetti. Czekaemy na pana statek od trzech dni.

– Statek to nie pociąg. Mieliśmy złą pogodę po drodze. A w samym porcie nawalił ster. Musieliśmy wejść do stoczni remontowej. – Kapitan zmarszczył czoło. Nieporadnie usiłował wyprostować niegdyś białą czapkę, ozdobioną zaśniedziałym galonem. – Nie muszę się panu tłumaczyć. Podlegam tylko dowództwu Regia Marina w Tarencie. „Balila” została wcielona do służby transportowej na trasie zaopatrzenia wojsk włoskich w Afryce.

– I feldmarszałka Rommla. – Niemiec zmrużył oczy.

– Niech będzie, że i feldmarszałka Rommla, herr...

– Hauptmann Ludwig von Shrekt. – Dłoń oficera sprężyście powędrowała w stronę daszka czapki w kolorze feldgrau. – Nadzoruję ładunek zaopatrzenia dla Afrika Korps, który dostarczy pan do Benghazi w Libii.

– Nie rozumiem tylko, czemu akurat z Rumunii? Mamy go wieść przez Morze Czarne i pół Śródziemnego? Co to za ładunek, u licha?

– Tego pan nie musi wiedzieć, a prawdę mówiąc, lepiej dla pana, żeby pan nie wiedział. Rozumiemy się? – Niemiecki oficer oparł dłonie o stojący między nimi stół, jakby chciał wyzwać Włocha na pojedynek.

Kapitan przytaknął, ale oczywiście niczego nie rozumiał. Udawał, że zainteresował go widok za oknem. Widok był równie nieciekawy jak wnętrze rumuńskiego biura portowego. Zardzewiałe kratownice dźwigów rozmywały się w ciemnościach, słabo rozświetlonych przez żółć sodowych latarni. Pasma szarej niczym brudna przędza mgły snuły się nad powierzchnią basenów portowych, zacierając dalekie światła nabieżników.

Może była to wina szyby mytej ostatni raz chyba jeszcze przed wojną, ale widoczny przez nią statek wydawał się bardziej niż zwykle zaniedbany. Czarna farba odłaziła z burt, ustępując

miejsca rdzawym zaciekom, niegdyś białe nadbudówki poszarzały, a złoty znak armatora na zielonym kominie wyblakł. Kapitan zapatrzył się na zastąpiony łańcuchem kawałek relingu tuż przy lewoburtowej schodni. Pomyślał ponuro, że reling należało wymienić już dawno, podobnie jak przedni bom ładunkowy, winde kotwiczną i wysłużone kotły, dlatego nie od razu usłyszał dalsze słowa hauptmanna von Shrekta.

– Załadunek powinien się skończyć przed świtem. Wtedy odda pan cumy i natychmiast wypłynie. Na morzu Marmara dołączy wasza eskorta. Tu ma pan nowe rozkazy z Admiralicji Regia Marina.

Kapitan tępym wzrokiem wpatrywał się w zalakowaną płócienną kopertę, która niczym za sprawą czarów znalazła się na porysowanym blacie.

– Ale musimy przedtem załadować wodę i węgiel, zaopatrzyć się w prowiant...

– Wszystko jest już przygotowane, kapitanie. Ładunek, zapasy i pasażerowie.

– O kim pan mówi, u licha?

– O nich. – Hauptmann wskazał stojących na nabrzeżu trzech mężczyzn w długich, szarych płaszczach i futrzanych czapkach. Wyglądali na zmarzniętych. Mimo to z uwagą śledzili kołyszące się nad ich głowami okryte brezentem, krótkie, okrągłe kształty, przypominające kawałki gigantycznych rur lub spore beczki. Wielkie dźwigi portowe zdejmowały je ostrożnie z kolejowych lor i przenosiły do otwartych ładowni statku. Na tle białej zasłony syjącego od rana śniegu wydawały się czarne. Śnieżne płatki powlekły też skrzącym się całunem ustawione w stosy drewniane skrzynie.

– Ci ludzie płyną z nami do Libii? Rozumiem, że nie cenią zbyt wiele swojego życia? – Kapitan zaplótł ręce, jakby przez brudną szybę dosięgnął go lutowy ziąb.

– Och, jeśli o to panu chodzi, to nie oni jedni. Ja także zaokrętuję się na „Balilę”.

– Pan? – Kapitan Benetti rozłożył ręce w typowo włoskim geście zdumienia. – Czy dowiem się, choć pokrótce, o co tu chodzi?

– Pokrótce? – Hauptmann Ludwig von Shrekt odstłonił w uśmiechu rząd nieskazitelnie białych zębów, ale w jego oczach widać było zmęczenie, gdy odpowiadał: – No cóż, kapitanie, to po prostu wojna.

* * *

Światło migocące na pomoście bojowym niszczyciela mrugnęło po raz ostatni i zgasło. Otaczająca okręt szarość nieba i morza stała się przez to jeszcze bardziej przygnębiająca.

– Meldować! – Kapitan Benetti spojrzał na marynarza z lampą Aldisa. Pokład pochylił się w przód, jakby statek chciał zanurkować dziobem. Sygnalista złapał się kolumny steru, obejmując ją niczym dawno niewidzianego przyjaciela.

– „Hermes” nadaje...

Kapitan go nie słuchał. Jak urzeczony wpatrywał się w sylwetkę niemieckiego okrętu. Kadłub niszczyciela przechylił się na fali i właśnie wtedy z jego burty, na wysokości przedniej wieży artyleryjskiej, trysnął w górę słup wody i piany. Oślepiąco biała kolumna wznosiła się coraz wyżej, jakby chciała sięgnąć wiszących na ciemnym niebie chmur. Po morzu przetoczył się głuchy grzmot. Zawtórował mu rozrywający bębunki uszu huk kolejnej eksplozji. Pokład niszczyciela uniósł się, wypchnięty od dołu podmuchem wybuchającej amunicji. Stojące na pomoście bojowym figurki marynarzy rozsypały się na wszystkie strony niczym porwane wiatrem zeschnięte liście. Dziób okrętu poderwał się, a potem zapadł w szarozieloną otchłań. Ociekająca kaskadami

wody rufa wynurzyła się z wody, ukazując wciąż obracające się śruby. Po chwili gładko wsunęła się pod fale.

Kapitan Benetti patrzył szeroko otwartymi oczyma na resztki pogruchotanego kadłuba z sykiem i bulgotem powietrza pogrążające się w wodzie. Wśród szczątków unosiły się ludzkie ciała w eleganckich mundurach Kriegsmarine, nawet z daleka połyskując złotymi naszywkami. Niektóre z tych ciał poruszały się i kapitan już miał wydać rozkaz spuszczenia szalupy, kiedy przypomniał sobie, że wszystkie przepadły w sztormie.

Niemal podskoczył w miejscu, słysząc wrzask pierwszego oficera:

– Torpeda! Kapitanie, torpeda!

– Wiem! Przecież wiem, durniu! Dostali torpedą w magazyn amunicji!

Giacomo Rossi przez chwilę tylko poruszał ustami, jakby nie mógł złapać tchu. Wreszcie odzyskał głos.

– Ale mnie chodzi o tę, co leci prosto na nas!

* * *

– Poszła! – Starszy torpedysta Daszkiewicz poprawił słuchawki na uszach. Spróbował wyprostować długie ciało, ale w ciasnocie kiosku okrętu podwodnego nie było to łatwe.

– Zamknąć pokrywy! Wyrównać trym! – Kapitan Borys Karnicki, dowódca ORP „Sokół”, zacisnął palce na uchwycie peryskopu. Jego regularne, trochę ostre rysy twarzy zastygły w grymasie skupienia. Zsunęta na tył głowy biała czapka ze złotym otokiem nadawała mu zawadiacki wygląd. W odróżnieniu od reszty załogi był zawsze gładko ogolony, a zamiast podwodniackiego swetra nosił schludny granatowy mundur.

– Trzydzieści sekund. – Porucznik Kłopotowski patrzył na stoper. W przyćmionej czerwieni oświetlenia bojowego jego

zarośnięta twarz przybrała wyraz upiornej maski. – Włoska bandera, na oko ponad trzy tysiące ton. Stoi w dryfie, burtą do nas, jak kaczka na strzelnicy.

– Uwaga na sterach! Pilnować trymu! – Kapitan zmarszczył brwi, kiedy woda zalała soczewki peryskopu.

– Wciąż jest spora fala. – Bosman Domicz mimo pozornej ociążalej sylwetki zręcznie poruszał się w stalowym gąszczu rur i zaworów. – Trudno utrzymać okręt na równej stępce.

– Minuta! – Porucznik ścisnął palcami stoper, jakby chciał go zmiażdżyć.

– Frachtowiec odwraca się rufą! – Kapitan Karnicki przekręcił uchwyt o ćwierć obrotu. – Chybiliśmy!

– A to była nasza ostatnia rybka! – W głosie porucznika słychać było rozczarowanie myśliwego, któremu zwierzyna umknęła sprzed nosa.

– Wynurzenie! Stery głębokości trzydzieści! Szasować dziobowy! – Kapitan złożył z trzaskiem rączki peryskopu. Lśniąca mosiężna rura zjechała w dół, chowając się w osłonie. Cmoknięcie oleju w przekładni zagłuszył ryk sprężonego powietrza wdzierającego się do zbiorników balastowych.

– Okręt na powierzchni!

– Obsługa działa na pokład!

Na stalowej drabince zatupotały ciężkie buty. Szczęknięta otwierana pokrywa wjazdu. Kapitan przezornie naciągnął zdywstękę i płaszcz sztormowy, nim przecisnął się przez ciasny otwór. Odetchnął pełną piersią niczym wynurzający głowę pływak. Pierwszy haust świeżego powietrza miał smak szampana.

Przyłożył do oczu lornetkę. Omiótł wzrokiem horyzont. Pusto.

– Przy takiej pogodzie nie ma się co bać samolotów. – Stojący z tyłu porucznik Kłopotowski skierował swoje szkła na frachtowiec.

– Bywają też inne przykrości. – Kapitan spojrzał w tę samą stronę. Uśmiechnął się drapieżnie. – Tamten statek zaraz się o tym przekona.

Z wysokości kiosku fale wydawały się niewielkie, były jednak wystarczająco duże, by wąski kadłub „Sokoła” rozkołysał się na boki niczym pijany marynarz szukający drogi do portu. Długa lufa działa na przednim pokładzie zataczała szerokie kręgi, kiedy artylerzyści próbowali naprowadzić ją na cel.

– Oba motory cała naprzód! Ster lewo dwadzieścia! – Kapitan pochylił się nad otworem wjazdu. Pod nogami czuł drżenie stalowych płyt, kiedy okręt przyspieszył, wchodząc na trawers frachtowca. – Niech pan robi swoje, poruczniku.

– Odłamkowym ładuj! – Kłopotowski wychylił się przez półkolistą osłonę pomostu. Na przednim pokładzie marynarze w białych golfach gorączkowo obracali pokręta. Inni otwierali pojemniki z nabojami kalibru 76 mm. W mętym świetle pochmurnego dnia żółtawo połyskiwały mosiężne łuski.

Komenda „pal” złała się w jedno z gniewnym rykiem armaty. Przed dziobem frachtowca wyrósł gejzer zabarwionej kordytem wody. Nim zdążył opaść, huknął kolejny strzał. Tym razem pocisk musiał przelecieć górą, bo nie widać było, gdzie upadł.

Na pokładach statku pojawiły się sylwetki ludzi. Niektórzy biegali bez celu z dziobu na rufę, jakby mogli dokądś uciec, inni z bezsilną wściekłością wygrażali z daleka pięściami.

– No, wreszcie celny. – Kapitan z uznaniem pomachał ręką artylerzystom, kiedy w dziobie frachtowca pojawiła się poszarpana dziura. Kolejne trafienie rozerwało burtę na linii wodnej. Niektóre pociski przebijały blachę, eksplodując dopiero w środku kadłuba, inne wybuchały przy uderzeniu w płyty poszycia, otwierając drogę spienionej wodzie.

Borys Karnicki wyobraził sobie, co musi się dziać we wnętrzu statku. Piekło ognistego podmuchu, kłębowisko powyginanej

i osmalonej stali. Szum wdzierającej się przez przestrzeliny wody. Jęki i trzaski pękających grodzi. Marynarze, tacy sami jak on, uciekający przed napierającym nieubłagane morzem...

– Tonie! Nareszcie tonie! – Porucznik Kłopotowski wskazał zanurzający się dziób statku. Prosta niczym linijka stewa zawisła ukośnie nad powierzchnią morza. Najpierw jedna, potem druga fala łakomie sięgnęła słupków relingów dziobowych.

– Tak, chyba mu wystarczy, może pan przerwać ogień. – Kapitan zmrużył oczy, wpatrując się w pochyloną nadbudówkę frachtowca. Niespiesznymi ruchami regulował ostrość lornetki. – Ale to jednak dziwne, nie sądzi pan?

– Tak, kapitanie?

– Co włoski transportowiec robił tak daleko na południe od szlaków ich konwojów? Dokąd płynął? Z komina leciał dym, więc miał kotły pod parą, a przecież dryfował.

– To już nie nasze zmartwienie. – Kłopotowski zacierał ręce, może z zimna, a może cieszył się z udanego polowania.

– Tak, niech oni się martwią. – Kapitan na pozór obojętnie przyglądał się tonącemu statkowi. Na przechylonych pod dzikim kątem pokładach gorączkowo uwijali się ocalali marynarze. – Tym bardziej że nie widzę ani jednej szalupy.

– Spuszczają tratwy ratunkowe. O tam, na bakburcie. Nie ma co żałować makaroniarzy. Do brzegu Syrii mają najwyżej pięć mil i wiatr w plecy, poradzą sobie.

– Tak, zapewne. A teraz niech pan nas stąd zabiera, poruczniku. Proszę przygotować okręt do zanurzenia i wytyczyć kurs na Maltę. Wracamy do domu!

– Tak jest, kapitanie! – Kłopotowski wyszczerzył zęby w uśmiechu. Pomachał stojącym beczynn timerystom. – Zabezpiecz dydzio! Do środka! Zanurzenie!

– Ale wie pan co? – Kapitan postawił nogę na szczeblu drabinki, ale zdawał się zwlekać. – Tam były nie tylko Włosy.

Przysięgłbym, że widziałem kogoś w mundurze niemieckiego oficera. Inni biegali w kółko jak kurczaki z odciętymi głowami, a ten stał spokojnie, oparty o reling, jakby był na pasażerskim liniowcu, a nie na tonącym wraku, i patrzył na nas przez lornetkę. Długo patrzył. Zupełnie jakby chciał nas dobrze zapamiętać.

Porucznik Kłopotowski spojrział przez ramię, ale zobaczył tylko pogrążający się w morzu kadłub frachtowca i dwie wypełnione rozbitkami tratwy przy jego burcie. Zdawało mu się, że daleko na zachodzie widać kreskę lądu pod nawisem deszczowych chmur, ale nie był tego pewien. Wzruszył ramionami i mocniej ściągnął pod szyję troczki zydwestki.

MAREK ORŁOWSKI

SAMOTNY KRZYŻOWIEC



MIECZ SALOMONA

MAREK ORŁOWSKI

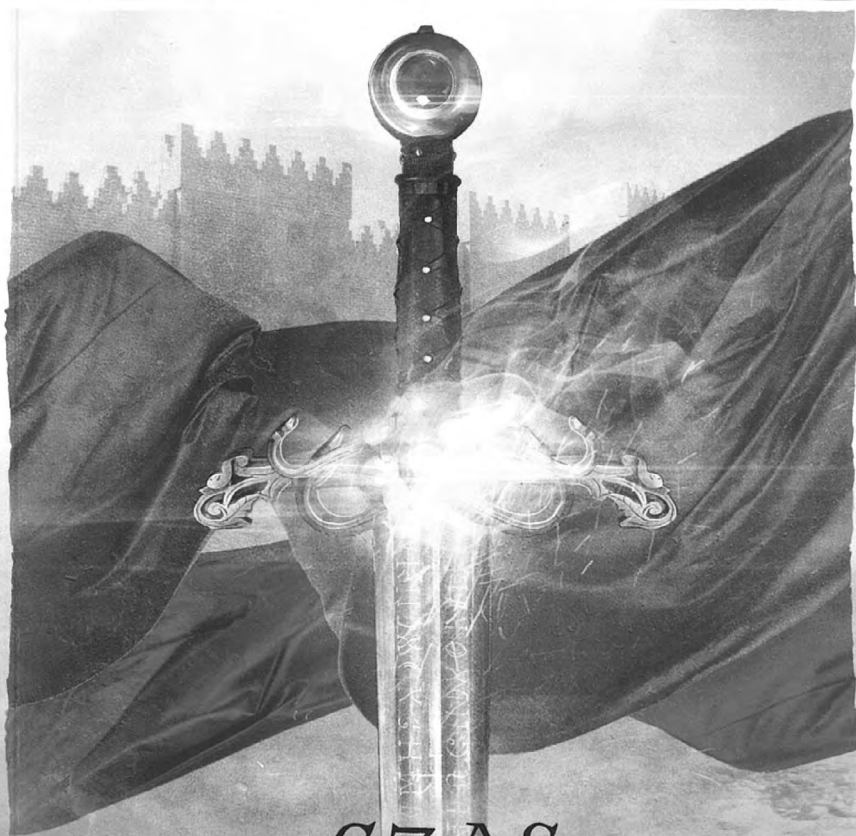
SAMOTNY KRZYŻOWIEC



ŚCIEŻKI
PRZEZNACZENIA

MAREK ORŁOWSKI

SAMOTNY KRZYŻOWIEC



CZAS
PRZEPOWIEDNI

MAREK ORŁOWSKI
SAMOTNY
KRZYŻOWIEC



ROZDROŻA



Marek Orłowski, a właściwie Marko Szapkarow – Orłowski. Urodził się w 1958 roku w Warszawie. Absolwent ASP w macedońskim Skopje, pracuje jako prywatny przedsiębiorca i tłumacz. Pasjonuje się historią średniowiecza, zabytkową bronią, ale też jeździectwem, turystyką górską i kajakarstwem. Aktywny tryb życia łączy z zamięłowaniem do czytania książek, o dość eklektycznie dobranej tematyce. Jego literackim debiutem był cykl przygodowo historyczny *Samotny krzyżowiec*.

Rok 1191, Ziemia Święta, czasy trzeciej krucjaty. Na redzie Akki tonie galera krzyżowców z tajemniczym ładunkiem na pokładzie.

Rok 1942. W pobliżu tego samego miejsca okręt podwodny torpeduje niemiecki frachtowiec, wiozący broń masowej zagłady dla Afrika Korps.

Czasy współczesne. Czwórka polskich studentów archeologii odkrywa w kościele joannitów ślady tajemnicy sprzed ośmiuset lat. Razem ze swoim profesorem organizują wyprawę na Morze Śródziemne.

Ładunek zatopionego frachtowca staje się celem arabskich terrorystów. Tajna broń Hitlera ma posłużyć do ataku na Stany Zjednoczone.

Co łączy szczątki średniowiecznej galery i wrak statku z okresu drugiej wojny światowej? Jakie sekrety skrywa archiwum watykańskie i kto jeszcze poszukuje zaginionej relikwii, która mogłaby zmienić losy Kościoła?

Słoneczne krajobrazy Malty, sztolnie hitlerowskiego kompleksu „Riese” w Górach Sowich, podziemia Watykanu i morskie głębiny staną się tłem dla intryg, bezlitosnej walki o władzę, fanatyzmu religijnego, ale też namiętności i zdrady, które spletną się z przygodami Krzysztofa i Marty, głównych bohaterów powieści, a mroczne zagadki przeszłości odcisną swoje piętno na ich losach.